

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok II

Kraków, dnia 19 sierpnia 1945 r.

Nr. 38

MIECZYŚLAW WIONCZEK

Narodziny Trzeciej Republiki

Praga, w sierpniu 1945 r.

Z „rewolucyjnego adresata“ czyli książki adresowej dowiaduję się, że mój stary praski znajomy mieszka przy „Revoluční třída“. Na placu św. Wacława sprzedawcy gazet wystawili w kioskach kolekcje zdjęć z praskiej rewolucji. W wielkich kinach stolicy Czechosłowacji idą dodatki filmowe z walk majowych w Pradze. Niewiele brak, aby w cukierniach podawano rewolucyjny cocktail. W naszych oczach rodzi się mit rewolucyjnej Pragi, jakże niepodobny do naszych o tym mieście wyobrażeń. Nie powstaje dla użytku na zewnątrz kraju. Cóż bowiem znaczyć może sto dwadzieścia godzin walk Pragi z okupantem wobec lat Leningradu, miesiący Tobruku, tygodni Warszawy. Rodzi się z wewnętrznej potrzeby najbardziej realnie w Europie myślącego narodu. Montuje się oto na gwałt imponderabilia, które okazują się ostatecznie w skali ludzkiej i narodowej najważniejsze. Montuje się na gwałt przeciwwagę dla postawy moralnej, którą w całej Europie nazywano quislingowską, a która była tu jednak powszechniejsza, niż gdzie indziej.

Po ulicach Pragi maszerują kolumny młodych ludzi w mundurach z białymi literami SNB (służba bezpieczeństwa narodowego), na czerwonych opaskach — to byli partyzanci; po trotuarach chodzą gęsto żołnierze i oficerowie: w skromnych połowych mundurach — z armii gen. Svobody ze wschodu, elegancji, doskonale wykwapowani z napisem „Czechoslovakia“ na naramiennikach — z zachodu. Jest ich wielu, zbyt mało widocznie jednak dla cywilnego Czecha, skoro trzeba montować dlań mit o rewolucji, która w rzeczywistości była niewielką potyczką z będącym w agonii nieprzyjacielem i kosztowała kilkanaście setek ludzi i kilkadziesiąt zniszczonych domów.

„Czas pogardy“ były równocześnie czasami bohaterstwa i dzisiaj przyszła chwila, kiedy się trzeba z niego wylegitymować. Nie tylko przed światem, ale i przed sobą samym, aby nie stracić poczucia pełnowartościowości w nowym świecie. Rewolucja praska ma spełnić tę funkcję wyrównawczą niedoborów w charakterze narodowym i najnowszej historii narodu czeskiego. Mitologizowanie czynu zbrojnego, którego prawie nie było, jest objawem w ostatecznej analizie zdrowym. Świadczy bowiem, że przeciętny Czech zdaje sobie sprawę ze swych wad psychicznych i zaczyna uznawać obowiązującą hierarchię cnot, choć nie potrafi ich swym życiem realizować.

RACHUNEK SUMIENIA

Nowe życie Pragi nie trwa jeszcze nawet stu dni. Jest bujne bujnością wielkiego miasta, zamieszkałego przez ludzi z małych miast. Robi wrażenie wielkiej kolonii Dupontów i Duvalów, których wraz z ich biurami i sklepami przeniesiono z francuskiej prowincji na słowiański grunt. Jest bardziej petit-bourgeois niż cokolwiek, co można by sobie wyobrazić. Spokojni, dobrze wychowani mieszczańscy chodzą rano do biur i do sklepów, przerwą obiadową spędzając w praskich bistro czy skromnych restauracjach, po czym znów wracają do swych zajęć. Pała swoje dwa przydziałowe papierosy dziennie, a wieczorem przy słodzonej sacharyną lemoniadzie w lokalach, z których szampań i melba zniknęły przed sześciu laty, słuchają dobrej muzyki jazzowej i kupletów wyśmiewających pana Hacha.

Pan Hacha umarł całkiem prozaicznie w więzieniu. Są tacy, co widzieli go przed kilku tygodniami na Vaclavskim náměstí, gdzie jakoby w więziennym stroju układał bruk w wyrwach, powstałych wskutek eksplozji niemieckich bomb lotniczych w czasie majowych walk. Nie udało mi się uzyskać potwierdzenia tej wiadomości. Większość natomiast prażan twierdzi, że głowa protektoratu w chwili aresztowania była najzupełniej zdzięcznina ze starości i strachu.

Większość czeskich Hachów siedzi w więzieniu. Część ukrywa się jeszcze na prowincji, część poszła do więzienia spokojnie w nadziei rehabilitacji. Bo jednak — myśleli — uratowaliśmy naród czeski przed zagładą. Ba, nie tylko uratowali. Czesi są jedynym narodem w Europie, który miał przyrost ludności w czasie drugiej wojny światowej. I to znacznie wyższy, niż przed jej wybuchem. Naród

czeski wzrósł o 180 tysięcy ludzi w ciągu tych sześciu ponurych lat. Aktyw biologiczny znaczy wiele, ale aktyw moralny chyba więcej. I odbudowa aktywu moralnego jest chyba najważniejszym problemem Trzeciej Republiki, problemem, który wielkiemu demokracji i politykowi Edwardowi Beneszowi spać po nocach chyba nie daje.

Pierwsza republika, narodzona pod znakiem Focha i Wilsona trwała dokładnie dwadzieścia lat, uwikłana w pozornie najdoskonalszy system paktów i przyjaźni. Szary obywatel czeski pamięta lepiej niż kto inny Monachium, Chamberlaina i Bonnetta, ludzi którym ufał. Szary mieszkaniec stołecznego miasta Pragi czytał już teraz w dniach wolności pierwszą i jedyną książkę o tragedii Czechosłowacji w 1938 r., która wyszła przed dwoma tygodniami w Pradze w nakładzie 25 tysięcy i po sześciu dniach została galkowicie wyczerpana. Od bezstronnego szwedzkiego autora dr Karl-grena jeszcze raz otrzymał potwierdzenie dla swych domysłów, że gdyby nie wielki zachodnio-europejski kapitał, było by inaczej. Nic dziwnego, że monachijski cynizm wielkich uzdzielił się jako postawa moralna małego narodu, który w chwili ciężkiej pozostawiono sam na sam z wilkołakiem. Za niewielką cenę, jak się wkrótce potem pokazało.

Takich rzeczy się nie zapomina. Dlatego dzisiaj dawna Pochowa třída czyli aleja Focha w Pradze nie nosi więcej tej nazwy. Zdrowe elementy narodu czeskiego wyraziły w ten sposób votum nieufności tym, którzy sześć i pół lat temu cofnęli dane słowo. Aleja Focha nazywa się dziś aleja Stalina, bo wyzwolenie przyszło ze wschodu.

Druga republika, ta pomonachijska trwała sześć tylko miesięcy i tylko jej współczesni podlizywacze mogli ją nazwać drugą (wszak porównanie uwłacza) republiką. Księgarnie praskie, a jest ich więcej niż u nas kiedykolwiek było w całym kraju, są jak wszystkie dziś księgarnie w b. Wielkoniemieckiej Rzeszy, pełne plew nie ziarna. Skromne, cieniutkie broszurki, pierwsze książki nowej Czechosłowacji, nie mogą stanowić przeciwwagi ani dla pótek pustych, ani dla zapchanych wszelką makulaturą. Z tej to makulatury w braku jakichkolwiek wydawnictw statystycznych wyciągnięto do witryn publikację o okładce w barwach narodowych pt. „Dwadzieścia lat Czechosłowacji — polityczny i gospodarczy przegląd pierwszej republiki“. Wysłała ona w październiku roku monachijskiego i wydawca wyrażał na okładce nadzieję, „że może być drogowskazem na drodze drugiej republiki, abyśmy nie popełnili błędów pierwszej“. Drugiej republiki jednak nie było, zmarła w chwili narodzin. Trzecia nie powinna popełniać błędów pierwszej.

Któż byli ludzie, którzy chcieli przy życiu utrzymać drugą, martwo urodzoną: Hacha, Chwałkowski, Moravec i Kalfus, minister finansów, jedyny dziś żyjący z niesławnego quadrumviratu? Pułkownik Moravec, człowiek ambitny i chytry, wieloletni doradca wojskowy Benesza, wykładowca w praskiej Wyższej Szkole Wojennej, to człowiek, który wiele złego uczynił już pierwszej republice. Przewidywał zawsze co innego, niż stać się miało: zwycięstwo Abisynii w wojnie z Italią, klęskę Franco w Hiszpanii; odsunięty przez Benesza poszedł swoją drogą, wbrew narodowi, wbrew zdrowemu rozsądkowi, wbrew oficierskiemu sumieniu. Miniaturowy Goebbels z patologicznymi ambicjami władzy i wielkości. Starzec Hacha „realista“ Chwałkowski i Kalfus związani od lat z wielką własnością, wielkim kapitałem, wielkim przemysłem, to ludzie, za którymi stały te same siły co za Petainem i Lavalem, Franco i Sunnerem, ludzie o formacie monachijskim.

Naiwni przemysłowcy czescy skarżą się dzisiaj w poufnych rozmowach, że rząd Trzeciej Republiki nie obejmuje wszystkich czeskich ugrupowań. Bo przecież nie wszyscy z nas — mówią — współpracowali z Niemcami. Nieprawda, współpracowali wszyscy, tylko jedni umieli zachować czyste pozornie ręce, inni mniej sprytni nie. Tylko formy bywały różne, treść ta sama. I dlatego dzisiaj żaden uczciwy rząd czeski nie może współpracować ani z czeską konserwą ani z czeskim kapitałem. W imię imponderabiliów, których za brakło narodowi w decydujących chwilach

i które trzeba teraz jak najszybciej reaktywować.

Beneszowa droga z monachijskiej Pragi do Pragi dzisiejszej wiodła przez Chicago, Londyn, Moskwę i Koszycę i trwała osiemdziesiąt miesięcy. Wiele się zmieniło przez ten czas w świecie, bardzo zmienił się sam prezydent republiki. Z wehikułu, którym podróżował poprzez czas, wysiadła większość towarzyszy i współpracowników z tamtych przedwojennych czasów. Milan Hodža umarł w Ameryce w zupełnym rozdzwieku z prezydentem, Osuski i Slavik są w cichej opozycji na emigracji, gen. Syrowy wycofał się w ogóle z życia politycznego. Przyszli nowi ludzie i tylko wielka indywidualność prezydenta jest pomostem między dawnymi a nowymi czasy. Oświecona demokracja czeska pierwszej republiki była wygodna i teoretycznie doskonała, nie zdała jednak egzaminu. Umysł uczonego wychowanka Tomasza Massaryka przejdzie niż inne zdał sobie z tego sprawę. Krytyka demokracji wczorajszej i zarysy jutrzejszej oblekły się w kształt książki, wydanej w początku wojny przez Benesza w Londynie pt. „Demokracja dziś i jutro“. Wielopartyjność pierwszej republiki, koalicje rządowe z udziałem konserwy i ciężkiego przemysłu, których demokratyczność okazała się co najmniej wątpliwa, wszelkie paktowanie z reakcją — rozłożyły moralną i realną siłę demokracji oświeconej. Nowa demokracja będzie inna, mniej pozornie demokratyczna, ale rzeczywistsza. Ograniczy się liczbę stronnictw, usunie od rządów elementy chwiejne i wzdychające potajemnie ku prawicy, podda ścisłej kontroli państwa wielki kapitał, wzmocni rolę związków zawodowych w państwie, oprze wszystko na klasie pracującej. Ta droga — wyspekulował teoretycznie Benesz — pójdzie ewolucja ustrojowa Europy. I spekulacja uzyskała potwierdzenie w rzeczywistości, tam nawet gdzie trudno się tego było jeszcze przed miesiącami spodziewać. W chwili kiedy przeglądam jeden z niewielu przywiezionych do Pragi egzemplarzy tej książki, radio brytyjskie głosi o zwycięstwie Labour Party w Anglii i o votum nieufności narodu angielskiego dla człowieka, który wygrał wojnę, a mógłby przegrać pokój. Właśnie dlatego, że reprezentował demokrację wczorajszą, a nie jutrzejszą.

PRZYWARY RENTIERA

Tymczasem w niezniszczonej, złotej Pradze jest ciężko jak w całej zniszczonej Europie. Fasada beztroskiego kawiarnianego żywota, przepięknych kin i cukierni, oświetlonych neonami nocą ulic w błąd wprowadzić może tylko bardzo powierzchownego obserwatora. Do trudności wewnętrzno-politycznych, do trudności natury moralnej dochodzą olbrzymie trudności gospodarcze. Trudności wewnętrzno-polityczne to nawet nie walka z reakcją, ale raczej walka z nieruchliwością polityczną czeskiego „petit bourgeois“, który niczemu się nie sprzeciwi, ale patrzy na wszystko obojętnie. Godzi się na wszelkie ograniczenia gospodarcze, ale poza tym chce mieć święty spokój, tak jak chciał mieć święty spokój w protektoracie za cenę ograniczeń politycznych i kulturalnych. We wszystkich dzielnicach miasta olbrzymie, wielometrowe szłydy znaczą lokale dzielnicowych komitetów partyjnych czterech istniejących partii: komunistycznej, socjal-demokratycznej, narodowo-socjalistycznej (Benesza) i ludowej. Ale ruch w lokalach partyjnych jest znikomy i ulica żyje swoim naskórkowym życiem. Ulica wykonywa swe obywatelskie obowiązki w granicach, potrzebnych aby żyć, a poza tym chodzi do restauracji, cukierni i kin. Bardzo rzadko na zebrania i manifestacje polityczne.

Obywatel Trzeciej Republiki jest beznamiętny i myśli realnie — co ja z tego będę mieć. I zależnie od wykonanego w myśli wyliczenia odnosi się do nowych wydarzeń, wyznaczając swoje stanowisko miarami korzyści i legalności. Bo ulica czeska ma także we krwi legalność.

Miarą korzyści mierzy się zmiany terytorialne Trzeciej Republiki. Żaden z wielu rozmówców na pytanie o stosunek do sprawy przyłączenia Rusi Zakarpackiej do Związku Radzieckiego nie zwrócił uwagi na etnograficzne związki Rusi z resztą Ukrainy. Każdy mówił — tyleśmy do tej Rusi przez dwadzie-

ścia lat dokładali. Teraz jest wreszcie święty spokój.

W kilkadziesiąt punktach Pragi wiszą niewielkie, na powielaczu drukowane afisze z niedźmie odbitą mapą Czech, Moraw i Śląska, oraz napisem: O sprawiedliwe granice Czechosłowacji. Wyblakły od słońca, litery zamażał deszcz. Nie widziałem nikogo, kto by stanął przed nimi i czytał je. Tak samo nikt nie zwraca uwagi na kilka ręcznie pisanych afiszów, które głoszą: „Ślązacy, zamieszkali w Pradze! Wzywamy was do śląskiego domu, Praga, Vsehrdova 2. Zapisujcie się na członków śląskiego związku kulturalnego!“ O jakich czeskich Ślązakach tu mowa, nie wiadomo. Spotkałem co prawda kilkadziesiąt czeskich rodzin na południowym Dolnym Śląsku, ale nie o tych tu chyba chodzi. O jakichś emigrantów ze Śląska do Pragi. Któż o nich słyszał, któż ich zna? Mapa, odbijana na powielaczu, ma granice państwa czeskiego z czasów Karola IV Luksemburczyka, największego z czeskich władców, który przyłączył do korony Śląsk i Łużyce, zbudował w Pradze katedrę i zamek na Hradczynie, założył Karłow uniwersytet. Ale potem była tragedia Białej Góry i procesy historyczne, które z narodu Żiżków i Husów, uczyniły dzisiejszych Czechów. Między tamtymi Czechami bohaterскими a dzisiejszą Czechosłowacją „realnie myślących“ ludzi historia zerwała wszystkie związki poza językowymi. Toteż dzisiejsze nawiązywanie do wielkich Karlowych czasów nie znajduje oddźwięku, mimo że znów wejście do grobów królewskich na Hradczynie jest otwarte i mimo że odwiedzają je tłumy.

Toteż ani Łużyce, ani Śląsk nie interesują dziś poważnie nikogo. Ba, nawet zainteresowanie budżetowe, w których po wyjściu Niemców będzie pracy dość, jest niewielkie. Osiałość czeskiego „petit bourgeois“ i czeskiego chłopca, brak skłonności do ryzyka czynią, że wciąż wynajduje się dla siebie i innych nowe argumenty dla usprawiedliwienia pasywnego żywota.

Słynna czeska „husa“ czyli gęś, przysmak narodowy, knedliczki, suto omaszczone, południowe owoce, dzięki którym Praga przedwojenna w lecie przypominała porty śródziemnomorskie, setki samochodów na głównych arteriach miasta, należą do przeszłości. Kryzys gospodarczy jest głęboki. Brak węgla i benzyny, zniszczone linie kolejowe, a tabor gdzieś rdzewieje w głębi Niemiec. Brak surowców, brak specjalistów — ko kollaboracji siedzą w więzieniach. Dó akcji żniwnej posyła się młodzież z miast, bo inaczej będzie głód. Na pograniczu wciąż jeszcze niespokojnie i wciąż jeszcze siedzą sudeccy Niemcy. Na Słowacji koleje stoją, na Słowacji jest podobno jeszcze gorzej. Reglamentacja życia gospodarczego pozwala co prawda realizować podstawowe kanony sprawiedliwości społecznej — kto nie pracuje, ten nie je, ale równocześnie wymaga pasywność przeciętnego obywatela. Stąd żółwie tempo odbudowy gospodarczej kraju, stąd dylemat, który prawie jest nie do rozwiązania. I ostatecznie wszystko sprowadza się do problemu — jakimi drogami odmłodzić psychicznie naród, mający wszelkie przywary rentiera. Może właśnie mitologizowanie „praskiej rewolucji“ odegra rolę bodźca.

POSĄG ŚLAWII

Rząd Trzeciej Republiki przybył do Pragi samolotem od wschodu, z Koszyc. Cztery piąte terytorium republiki zostało wyzwolone przez wojska radzieckie. W kinach całego państwa sowieckie filmy o Stalingradzie, Sewastopolu, Leningradzie i bitwie o Moskwę dają Czechom lekcję bohaterstwa. A jednocześnie są zupełnie zrozumiałe, bo język rosyjski jest łatwiejszy dla Czecha od polskiego. Portrety Stalina towarzyszą wszędzie portretom Benesza. Słowianie wyzwolili Słowian. Panslawizm dziewiętnastowiecznych Czechów — Palacky'ego, Hanka, Kollara znajduje potwierdzenie swej słuszności w wydarzeniach roku czterdziestego piątego. Zmienia tylko charakter — z kulturalno-psychologicznego staje się polityczno-gospodarczy. Tu należy przypuszczać, że jego realizm i realność odpowiadać będą bardziej trzeźwo myślącemu narodowi czeskiemu niż mistyczno-filologiczne koncepcje uczonych czeskich ubiegłego stulecia.

KAZIMIERZ ZENON SKIERSKI

Łambinowice

Z ciężkiego nieba wyrasta horyzont: na wprost dalekie, szaro-niebieskie góry — to Sudety. Droga, która prowadzi z Opola na południe, to właśnie droga na Sudety.

Jesteśmy na miejscu. Piękny krajobraz. Jest w nim tyle ciszy i jakiegoś dostatego uśmiechu. Wiatr, który dziś dmie, szarpie nieścięte jeszcze łany zboża. Kwitnie już krwawnik, powoje, dziewanny. Pod nogami piasek, piaszczysta droga. Niebo jest ciężkie, grozi deszczem, to znów na krótko ukazuje się słońce. Jest w tej pogodzie niepokój.

Idziemy polną drogą. Wiatr znowu powiał — i naraz ten zaduch! Znam ten fetor, to ciało ludzkie rozkłada się tak smrodliwie.

Poza tym nic jeszcze nie wskazuje śladu zbrodni. Tablica przybita do drewna jest małowidna: „Poligon. Wejście surowo uzbrojone!” Podpisano: „Oberkommando der Wehrmacht“. Ach, więc Wehrmacht? Nie Gestapo, nie SS, ale po prostu — wojsko? Zaraz przy tablicy rozpoczynają się piaszczyste, długie zagony, wyrównane gładko, z rzadka porośnięte zielskiem. Zagony są równe, jeden leży przy drugim. Ścieżka-wgłębienie, która idzie między dwoma sąsiednimi zagonami, ma niewiele — 30 centymetrów szerokości. Wyzyskano teren... Ale zagony są bardzo długie: od 25 do 75 metrów. Cały obszar ścieśniony do niewielkiej przestrzeni — 400 metrów szerokości, 500 metrów długości.

Wchodzimy na jeden taki zagon zasiany zielskiem i piaskiem — i tu właśnie pierwsze zetknięcie z tręścią tych uprawnych grząd: w czasie ataku wojsk rosyjskich jedna z niewielkich bomb trafiła taki piaszczysty prostokąt. Teraz widzimy. Niewielki dół, ma może dwa metry średnicy, jest dość płytki, na metr. Rozryw bomby wyrzucił zawartość: cztery ciała. „Ziemia otworzyła usta”. Trupy zostały już objęte przez robactwo, widnieją tylko dwa szkielety wkopane w ziemię po piersi, dziwne do siebie zbliżone, jakby poszukiwały się szczękami. Z drugiej strony leży — dwie wystające głowy, złożone niemal na siebie w straszliwym uśmiechu zdrowych zębów. Na dnie leża gęsta, ciemnozielona maź. To woda, która się tu zebrała po deszczach — woda jest zgnilo-ruda jak gnojówka. Bańki gazu bulgocą w niej co chwila. To właśnie rozkłada się treść tych straszliwych zagonów śmierci, ludzkie ciała rzucone tu przed rokiem czy jeszcze wcześniej.

Sąsiedni grób jest odkopany. W dole, na głębokości nie większej od metra — szereg ułożonych przy sobie szkieletów. Długie piszczele nóg, ręce sztywno wzdłuż ciała, niektóre rozrzucone beładnie, wszystko przerosnięte warstwą ziemi. Gdzieś niedaleko deska. Chodzą po tych deskach Niemki i rękomą wybierają ziemię. Wyrzucają ją na wierzch, nasyp rośnie. Kobiety pracują w straszliwym fetorze; kiedy stanąć tak zgnęta nad grobem, aż dusi w gardle. Wygarniają rękami ziemię, są ogłupiałe od tej pracy. Odkrywają to, co ukrywali przez lata ich bracia, żołnierze Wehrmachtu czy esesowcy. Ziemia otworzyła usta!

Zbiera się na deszcz. „Schnell, schnell!” — woła żołnierz, który pilnuje pracy. Kobiety beładnie depczą po kładkach, podważają szpadkami zwłoki, piszczele odrywają się. „Mit Hände, mit Hände!” Robią więc rękoma. Chłopak jest ochrypliwy od zaduchu i popędzania kobiet, kilka dni pracy może doprowadzić do wściekłości. W pierwszych grobach leżą żołnierze polscy z 39 roku. Nikt nigdy nie odczyta ich nazwisk, wszystko teraz przepadło. Niemki i Niemcy badani przez władze polskie i radzieckie nic nie wiedzą. Może nie chcą wiedzieć. Władze niemieckie zakazywały pod surowymi karami mówić cokolwiek na temat tego, co się działo w obozie i przy jego granicach. Nie wiedzą? Oglądają się: zboże jeszcze nie ścięte, rośnie tuż, poprzez szerokość ścieżki, nie dalej niż metr od krawędzi najbliższego grobu. Ci co siali to zboże — nie wiedzą? A podwoły niemieckie, które nocami wozili trupa? Czy ci ludzie nie widzieli, że grób kopany za dnia, rano był już zasypany i wyglądający na rozkaz władz obozowych? Nie wolno im było wiedzieć? A ksiądz z pobliskiej wsi Klucznica, pytany wielokrotnie o różne sprawy przez władze administracyjne, też nie wiedział? Nie wspominał, że takie pole kości leży tu od 1939 roku? Nie, nie wspominał. No, tak: zмова żywych przeciwko umarłym.

Przechodzimy do nowego grobu, który przed paroma dniami odkryto w przewidywaniu przyjazdu przedstawicieli prasy. Odkopano i zakryto prowizorycznie deskami. Tak leżały parę dni. Mają to być całkiem niezniszczone jeszcze zwłoki, u których można rozeznaczyć nawet rysy twarzy. Kobiety niemieckie wchodzą do dołu. Ostrożnie! — krzyczy na nie chłopak z karabinem. Kobiety — oszalałe od smrodu — uchylają pierwsze deski zbite jak wrzędujące. Odsuwają się — i naraz coś straszliwego!

Nie przypuszczałem nigdy, że tyle robactwa może się pomieścić w jednym brzuchu ludzkim. Jest tego miliony! Kilogramy robactwa, trupio zielonego w gęstej, zielono granatowej mazi brzucha, w piersiach, między żebrami.

Kłębi się to potwornie, przewraca, jakieś czarne robaki podobne do wielkich szczypawek, przerażone światłem lecą w szalonym pośpiechu przez to plugawie kłębawisko i kryją się gdzieś w głębinach ludzkiego organizmu, który jest galareta, ruszająca się od glist. Trup przy trupie, dziesiątki trupów w dole, parujące straszliwym smrodem, zaparzone przez te kilka dni od deszczu i gorąca. Ciało rozłożyło się zanim przyjechalibyśmy. Ziemia otworzyła usta! Straszliwy oddech ziemi...

Nie, już dosyć. Odejdź z tego miejsca, nie jesteśmy przecież komisją lekarską. Odważny jest ten doktor Czech, który zbliża się do samej krawędzi dołu. A Jugostowianin, zatykając chusteczką usta i nos, mówi: „Ja to znam. Ja widziałem. Trzy i pół roku w Oświęcimiu...” Jest coś uspokajająco mądrego w jego głosie. On to zna? Nie jest to braterstwo mowy słowiańskiej, tak w tej chwili dla mnie zrozumiałe, jest to braterstwo smutku w cierpieniu najbardziej ludzkim.

Na rozkaz komendanta wojskowego część kobiet wygrzebuje się z dołu i łopatami zaczyna odkopywać świeże groby. Musimy zobaczyć ostatnie warstwy najświeższych grobów. Odchodzimy na chwilę na bok, zanim to skończą. Dużo grobów, wiele grobów. Jest ich 179. W każdym po trzy warstwy. Rachunek pobieżny wskazuje na 80 tysięcy zagrzebanych. Ale żołnierz sowiecki Józef Czumaczenko, który był przez 15 miesięcy w obozie jeńców w Łambinowicach (Łambinowicach), mówi, że jego rodacy pracujący w kancelarii twierdzili na podstawie kart obozowych, że w końcu 44 roku było 96 tysięcy nieżyjących. Obóz dostarczał trupa.

Obóz w Łambinowicach — to szereg kompleksów barakowych ciągnących się przeszło 10 km. Mogło się tu pomieścić 700 tysięcy ludzi. Największy chyba w Europie obóz jeńców. Było ich prawdopodobnie znacznie mniej, ale jeden blok oddzielony od drugiego drutami kolczastymi i placami zbiórek, nie wiedział dokładnie co się dzieje w dalszych częściach obozu. Najwięcej było żołnierzy sowieckich, ale pierwsze groby zamknęły żołnierzy polskich z 39 roku. Poza tym Serbowie, Czesi, Słowacy, Chorwaci, Rumuni, Węgrzy, Włosi, Francuzi, Anglicy, czy też Kanadyjczy — oto narody świata, których stopa deptała te piaszczyste drogi. Kto z nich żyje? Gdzie żyje? Najwięcej umierało żołnierzy sowieckich. Umierało z głodu i na gruźlicę. Ale nocami strzelano, żołnierze słyszeli strzały. Nocami Niemcy ze wsi okolicznych wozili trupy. Głodzono ludzi na śmierć, to należało do metody — „Vernichtungslager”. Pół litra zupy dziennie; jakiejś bryki z brukwi czy buraków i 250 gramów chleba. Chorzy nie dostawali już chleba, to także należało do metody.

Kto to robił? Zaczynał wszystko Wehrmacht, a potem przyszedł esesowcy. A więc siła zbrojna i polityczna Niemiec. Czy to nic nie mówi? Właśnie w tym samym czasie, gdy odkryto obóz w Łambinowicach, biskupi niemieccy oświadczyli w liście zbiorowym, że naród niemiecki nie ponosi odpowiedzialności za wojnę, ale tylko partia hitlerowska, tylko zwyrodnialcy. Rozumiem: biskupi jako patrioci chcą ratować naród, ale być patriotą w zbrodni narodu, to już jest solidarność w przestępstwie. Naród nie chce odpowiadać, jak nie chce odpowiadać za zbrodnię w po-

TEODOR BUJNICKI

Pośród gruzów mitego Tusculum,
Pod strząskaną zasiadam absydą
I spisuję zawiłą minuskułą
Wydarzenia, co przysły i przyjdą.

Wiatr daleki na karty kroniki
Popiół grodów płonących przynosi.
Skrzypią kregi niebieskiej harmoniki
Popękanej w powszechnym chaosie.

Dłonie krew nieobeschła rumieni nam,
W bomb piorunach ocknęły się noce.
Jak łabędzie z wiersza Jesienina
Świat utonął w czerwonej posoce.

Już w przyrodzie wybucha panika,
Ewolucji rozprzegła się proza:
Przed zdumionym spojrzeniem botanika
Kwiat szkarłatny kwitnie na łożach.

Kto się znajdzie biegły w symbolice,
Aby znaków wymowę rozplątać:
Na błyszczącej słońca majolice
Krwawe plamy w kształcie trójkąta!

Nie pomoże teoria i praktyka
Astrologów z podniebnej wiedzy.
Swych sekretów nie wyda Gałaktyka,
Gasną światła w głuchym eterze.

Cóż my słabi, z chemią i fizyką
Zapędzoną w ślepe zaułki.

bliskim obozie ów proboszcz z Klucznicy, który wiedział, ale świadomie milczał. Biskupi niemieccy chcą przemilczeć zbrodnię narodu. Czy mają do tego prawo? Niech im odpowie jeden z więźniów Buchenwaldu, który wrócił właśnie; był to obóz koncentracyjny, a nie obóz jeńców wojennych, jakim były Łambinowice. Otóż w Buchenwaldzie był pewien marynarz niemiecki, który jako presteppca polityczny miał szczególnie surowy wyrok. Ów marynarz był przepięknie zbudowany, w dodatku na całym ciele miał artystyczne tatuaże — to go zgubiło z woli komendanta bloku, estety hitlerowskiego. I tak: skóra jednego łędźwia specjalnie pięknie tatuuwana, została wyprawiona na pergamin. Zrobiono z niej abażur do lampy, pod światło dawała ładny efekt. Ale na tym nie koniec: drugą nogę odcięto i zrobiono z niej odlew gipsowy. Skórę misternie zdjęto i odpowiednio spreparowaną wciągnięto na ten gipsowy odlew. Noga ta z ową ludzką pończochą stanowiła podstawę do lampy stojącej u komendanta; wyłącznik elektryczny zainstalowano w wielkim palcu. To wiadomość dla biskupów niemieckich i krótkie wyjaśnienie: jeżeli naród w ciągu kilku lat urodzi stu zbrojeńców, nie może za nich odpowiadać. Ale jeśli ich wyda kilka milionów — odpowiada, gdyż kilka milionów, to już jest naród.

— Schnell! Schnell! — te krzyki we wrogim języku przywołują nas do chwili obecnej. Wracamy. Grób odkopano. Leżą w nim całe, nienaruszone prawie warstwy ludzkich ciał. Ciemno zielone mundury wskazują na żołnierzy sowieckich. Niektórzy mają powiązane nogi — to znak, że jeszcze żywych wrzucano do dołu. To się zgadza z niemieckimi metodami postępowania: zagłodzić, choremu nie dać już chleba, konającego wrzucić do dołu. Inni żołnierze mają złożone ręce w sposób specjalny: wskazują na pewien ruch, jakby chcieli odrzucić z siebie warstwy ziemi, które na nich spadały. Jeden z żołnierzy leży tak, jakby obejmował swego towarzysza za szyję. Rozpaczliwie bolesne! I ten zaduch. Najokropniejszy smród, jaki można znieść! Słońce teraz grzeje, wiatr nie przestaje wiać. Duszno i parno. Kobiety biorą galaretowatego trupa i przesuwają, aby można policzyć ile jest warstw. Już nie patrzę, razem z grupą dziennikarzy odchodzę. Nie należą do komisji lekarskiej, która dawno tu powinna przyjechać. Trzy tygodnie temu odkryto cmentarzysko, starostwo tutejsze zwróciło się do różnych komisji, aby się tym zainteresowały. Niech przyjadą i zaczną badania jak najprędzej, jest to bowiem niemiecka zbrodnia specjalna: Łambinowice nie były obozem koncentracyjnym, ale obozem jeńców, którzy podlegali prawu międzynarodowemu. To prawo pogwałcono w sposób straszliwy. 96 tysięcy trupów w ciągu 5 lat, to nie może ująć bezkarnie. Łambinowice muszą znaleźć się na liście zbrodni niemieckich. Kaci muszą być odszukani i ukarani.

Idziemy do obozu, mijamy grzędy śmierci. Idą jedna za drugą, równo, gładko. Niektóre zapadły się, to oznacza, że warstwy osunęły się w dół, gdy ciało zniszczało. 179 grobów! A te ostatnie, te niedokończone — jeszcze tkwią w dołach łopaty i rydyle, jeszcze nosiłki stoją na krawędzi grobu. Jakaś kapota żołnierska porzucona, drewniany chodak, jakaś blaszanka, jedna, druga. Ślady ludzkiej egzystencji. Im bliżej obozu, tym tego więcej: puszcza od konserw, jakaś czapka, zbutwiały listy z domów. Robimy drogę powrotną: od dołów śmierci w stronę śladów życia, jakbyśmy chcieli znaleźć choć fragment tego, co ludzie przeżywali.

W samym obozie, co za pustka! Te baraki,

nędne drewniane budy, wyjąłowione z poczwarnej życia ludzkiego, uderzają jeszcze groźniejszą wymową. Z lekkim chodzim po kłatkach udreki. Nasze kroki brzmią pusto w pudłach drewnianych, cel. Wiatr trzaska popsutymi oknami. Wewnątrz — żałosne resztki i liche papierowe sienniki ze startą na miazgę słomą, pryce jedne nad drugimi — w malej klitce mieszkało 60 ludzi! Jak mogli się tu pomieścić? Co myśleli w nocnych godzinach, słysząc odgłosy strzałów? Co czuli w dzień, widząc w dali uśmiech błękitnych gór sudeckich, za którymi była ich ojczyzna: Czechy, Słowacja, Serbia?... Na podłogach resztki ich życia duchowego: jakieś rysunki amatorskie, zepsuta gitara, świecznik i „wiosny anielskie“ z choinki... Jesteśmy wzruszeni do łez. W pośpiechu wyrzucano wszystko co niepotrzebne, gdy zarządzone ewakuację. Zostały książki, listy, ilustracje. Schylałam się i podnoszę list pisany po serbsku: „Dragi Michajlo... Biorę książkę francuską do ręki i czytam: „François Mauriac — Ciało i krew.“ Ciało i krew? Ileż treści ma w sobie ten tytuł. Zastanawiam się chwilę i zabieram książkę: smutna pamiątka.

Na ścianach napisy. Tyle języków, tyle narodów! Jak we wspólnym grobie, wszystko pomieszane. Ludzkie okrzyki wypisane tu na ścianach, na pryzkach, na drzwiach po polsku, po rosyjsku, po rumuńsku. Zanim komisja odczyta je, zapisze i posegreguje, czytam je. Tu pisał jakiś Wloch: „Mamo, powrócę, jeśli Bóg zechce.“ Ten list pisany w dniu wyjazdu, nigdy nie doszedł do matki. Inny: „Życie jest ciężkie, ale wszystko przechodzi... „La vita e dura...“ Jeszcze inny: „Ave Maria, gratia plena, prega per noi, peccatori.“ Gdzie indziej, na belce pryce: „Kryszyna Łaskiewicz, żołnierz AK. Warszawa, Żurawia 4 m. 7 poszukuje H. Bagarczyk z tego samego domu.“ Inna dziewczyna napisała złą ortografią: „Odjast Saksonia.“ „Lapevedere, draga Maritico, sum in Germania in lagaru 318“...

Te napisy, to język bólu i wszystkich tęsknot, to dokument. To właśnie wolność wewnętrzna tych nieszczęśliwych istot. To ma najwyższą cenę. Jest jeszcze na długo bezpieczne, bo i wiatr tych słów nie chłószcze i deszcz ich nie zmywa i nie można ich przedko zapomnieć.

Wychodzimy z baraku. Czy można uwierzyć? Kwiaty, kwiatki, petunie. Na piaszczystym gruncie esesowcy kazali sadzić kwiaty. Jeszcze teraz ich kolor wydaje się bluznierstwem. A obok? Stosy puszek po konserwach przysianych z Kanady, Szwajcarii, Rumunii. Same najprzedniejsze produkty — i wszystko to zjadło rozbuchane, tuczne bractwo niemieckie z zakonu presteppców. Więźniowie tymczasem konali z głodu. Konali. Ale orkiestra musiała być. Wielki beben orkiestralny, rozpruty teraz i porzucony na dziedzińcu, huczał nad nędzą życia ludzkiego, rzał wiedeńskim walcem, czy berlińskim marszem tym, którym odmówiono już chleba. Jest tu straszniej niż nad śmierdzącymi dołami! Trzeba iść, odejść, nawet przy najzdrowszych nerwach jest się tak osłabionym, że chce się pisać z bezradności.

Ten ślad życia jest zbyt okrutny. Ale życia tu nie ma, odeszło. — Nie, jest! Kołata się jeszcze, bo gdy wychodzimy z bloku, przychodzi żołnierz i melduje komendantowi: znaleziono kobietę. Kobieta? — Idziemy! — Jakiś kształt na wpół zwierzęcy, zwinięty w kłębek, ale żywy. Oczy obłąkane, wystraszone. Kobieta boi się nas, nie mówi, leży na ziemi i obserwuje, dziwnie skulona, pół naga, w mundurze i spodnicy. Przez łachmany widać jej brzuch, to nie brzuch, to jama. Nie mówi, straciła język, oszalała. Nie może nic jeść. Organizm odmawia przyjęcia strawy, może tylko pić. Jak przetrwała tyle czasu? Nie wiadomo. To kościotrup, ofiara kaźni. Mówimy do niej wszystkimi językami Europy — nie rozumie. Komendant podnosi krzyk: on już mówił przecież parę dni temu, żeby ją zawieźć do szpitala, dlaczego tego nie zrobiono? Oficer tłumaczy się, że nie mogli jej odnaleźć, a może niezbyt starannie żołnierze szukali. Przewiozą ją jeszcze dzisiaj.

Odchodzimy. Jak tu straszliwie! I ten wiatr, który hula po pustych barakach i przynosi z daleka zaduch trupi. I to zielsko, które rośnie między zwłokami drutu kolczastego, te męcząco gładkie miejsca zbiórek przed barakami, jakieś nędzne warzachwie, którymi nalewano więźniom zupę, walające się na progach, listy od rodzin, które wiatr roznosi do innych baraków. Tego żywym nie było wolno, wiatr ma więcej swobody.

Odchodzimy z obozu śmierci. Pohańbienie człowieka i upadek człowieka osiągnęły tutaj swoje dno. Wracamy przejeżdżając, dziwnie naraz sobie bliscy i życzliwi, jakbyśmy choć przez ten krótki moment obcowania ze sobą — my ludzie obcy, widzący się po raz pierwszy, chcieli okupić całe zło, jakie się tutaj korzeniło przez wiele lat. Jest w tym nadzieja. W dniach największego uciemięczenia ludzkości, w dniach największych tryumfów niemieckich, poeta polski pisał: „lecz choć świat cały czeka zęba i zatrata, człowiek cierpiący musi przeświecić i czysty pozostać w moim sercu dla zbawienia świata.“

Idziemy, jakby kołysani tą niewypowiedzianą myślą. Wiatr się zmienił. Już nas nie truje. Oglądam się: znów dalekie, piękne góry, jak uśmiech. Jest w tym zapowiedź. I jest nadzieja. Trzeba żyć...

JERZY ANDRZEJEWSKI

O obronę człowieka

W felietonie „Rozmowa“ („Odrodzenie“, nr 36) Jan Kott, chcąc udowodnić na konkretnym przykładzie, do „jakich obłądnych rezultatów doprowadza ocena czynu od strony motywów“, poświęca kilkanaście wierszy opowiadaniu pt. „Przed sądem“, napisanemu w czasie okupacji przez „młodego utalentowanego powieściopisarza“. Ponieważ wspomniane opowiadanie zdobyczo sobie w swoim czasie dość znaczny, choć nieco mityczny rozgłos i dla wielu ludzi nie jest tajemnicą, iż autorem jego jestem ja, chciałem w tej i z nią związanej sprawie złożyć kilka wyjaśnień.

Rzeczywiście zimą roku 1941 napisałem opowiadanie pt. „Przed sądem“. Krążyło ono po Warszawie i Krakowie w licznych odpisach i było wielokrotnie czytane na literackich konspiracyjnych zebraniach. Najprawdopodobniej tą specjalną formą „publikacji“ wytłumaczyć należy fakt, iż opowiadanie moje jeszcze w czasach okupacji doczekało się w tajnej prasie ocen całkowicie zniekształcających jego treść i sens. Miałem kilkakrotnie okazję zapoznać się z drukowanymi relacjami o „Przed sądem“, niestety za każdym razem wątek opowiadania przedstawiał się inaczej, a raz został tak nieprawdopodobnie przeinaczony, iż tylko postronnie poszlaki upoważniały mnie do stwierdzenia, iż chodzi mimo wszystko o mój utwór. Będąc pisarzem, który od początku swojej pracy literackiej przywiązuje dość zasadniczą wagę do moralnej odpowiedzialności za słowo, nie mam bynajmniej zamiaru ukrywać, że te zniekształcenia mojego opowiadania były dla mnie bardzo przykre. Wolałbym nie korzystać z podobnie „legendarnej“ popularności. Wolałbym również, aby w kilka miesięcy po odzyskaniu wolności nie ukazał się w „Robotniku“ artykuł (autora w tej chwili nie pamiętam), z którego wynikało, że autor „Przed sądem“ usprawiedliwia oficera niemieckiego uczestniczącego przy rozstrzelaniu dwóch Polaków. Ten oczywisty nonsens wyraźnie dowodzi, że publicysta „Robotnika“ albo ze słyszenia znał moje opowiadanie, albo zapoznał się z nim kiedyś osobiście: tylko później wszystko mu się pokrzyżowało.

Oczywiście z Janem Kottem rzecz przedstawia się inaczej. Kott czytał „Przed sądem“ i niejednokrotnie osobiście ze mną o nim rozmawiał. Ze względu na obecny brak materiału literackiego krytyk ma, rzecz prosta, wszelkie prawa sięgać po utwory z czasów okupacji, choćby nawet nie istniał chwilowo ich tekst dostępny dla czytelników. Jedyny warunek, to wierna relacja. Niestety i Kotta zawodzi tu albo pamięć, albo słuszność interpretacji. Oczywiście najprostszą odpowiedzią z mojej strony było by opublikowanie „Przed sądem“, aby tekst sam mówił za siebie. Ale jedyny uratowany egzemplarz opowiadania znajduje się, o ile wiem, gdzieś na wsi i nie ode mnie zależy odkopanie go. Na razie więc muszę pragnąć, aby wierzone mi „na słowo“.

„Przed sądem“ jest krótką opowieścią o człowieku, który z lęku przed samotną śmiercią zdradza niewinnego przyjaciela i razem z nim zostaje rozstrzelany. Historia nie jest wymyślona, jest rzeczywista i wśród scenarii trochę innych, niż u mnie, miała miejsce we wrześniu, w okolicach Lublina. Nie było moim zamiarem stroić bohatera w „anielskie skrzydła“. Nie jest rozsądnym ze strony Kotta, gdy przeczy mojemu zdrowemu rozsądkowi i stara się zasugerować swoim czytelnikom, jakoby istniał „utalentowany“ powieściopisarz, który zdradę przyjaciela, doprowadzającą do wspólnej śmierci uważa za „najczystsza przyjaźń“. Doprawdy takim pomyślnym nie jestem, a co ważniejsze — nie przypominam sobie, abym był nim, pisząc „Przed sądem“. Przeciwnie, cały mój wysiłek jako artysty zmierzał ku temu, aby pokazać do jakiej nędzy i do jakiego upodlenia dojdzie może człowiek pod wpływem strachu, w obliczu śmierci, której się boi. W chwili, gdy do chaty, w której bohater mój, zbity straszliwie na śledztwie, czeka półprzytomny na rozstrzelanie, żołnierze wprowadzają tamtego drugiego, zdradzonego przyjaciela, pierwszy z całą jasnością zdaje sobie sprawę z potworności i z nieaktualności swego czynu. Ja go nie usprawiedliwiam. Jemu tylko przebacza tamten drugi, zdradzony. I to było dla mnie istotne — zdolność przebaczenia winy, litość w obliczu nędzy drugiego człowieka. Każdy chyba pojmie, iż w tym kontraście pomiędzy usprawiedliwianiem autorskim, a usprawiedliwianiem, które wychodzi ze strony człowieka najstraszliwiej skrzywdzonego, zachodzi różnica dość zasadnicza zarówno myślowa, jak artystyczna. Nie poruszałbym tak szeroko i publicznie sprawy „moralności“ mego opowiadania, gdyby cała rzecz nie zaczęła się o zagadnienie nieporównanie rozleglejsze, a w chwili obecnej, gdy tyle w przyszłości zależy od tego, co czyni się teraz, tak wielkiej doniosłości.

Czegóż żąda od pisarzy Kott? Oceny czynów i zamknięcia oczu na intencje. Kott chce „jednoznaczności“. W rezultacie — dyspensy uprawniającej do zajmowania się myślą czło-

wieka udziela jedynie katolikom, „ponieważ dla katolików myśl w tym samym stopniu, co czyn, może być grzechem“. Natomiast „powieść laicka staje wobec etycznej oceny myśli, pragnień i marzeń całkowicie bezradna“.

Osobiście, a sądzę, że jest to doświadczenie ogółu cywilizowanych, znam rozległą dziedzinę laickiego zdrowego rozumu, która wartościując czyny ludzkie, uwzględnia jednak i ludzkie intencje. Tą dziedziną jest prawo, a jego wyrazem kodeksy — cywilny i karny. Nie mogę odżalować, że Kott wymaga od artystów, aby w ocenie człowieka byli surowsi i bezwzględniejsi od kodeksu. Muszę wyznać, że jest to dla mnie powodem konkretnego, zmartwienia i gdyby ludzie pióra musieli wypełniać żądania Kotta, począłbym szczerze żałować, iż we właściwym czasie nie studiowałem prawa. Miałbym wówczas jakąś nadzieję zostać sędzią, a nawet i w tożdej prokuratury mógłbym dążyć do pełniejszego wymiaru sprawiedliwości, niż jako pisarz ujęty w gorset doktrynerstwa autora „Po prostu“.

Nie ma wśród kodeksów narodów cywilizowanych ani jednego, który by osądzając tak ciężkie przestępstwa, jak zabójstwo czy zdradę, w zależności od motywów czynu nie wymierzał różnych sankcji karnych. Tylko sądy doraźne wolne są od tego obowiązku. Nie jest więc prawdą, że tylko światopogląd katolicki pozwala na „etyczną ocenę myśli“. Kodeksy są laickie, a jednak nie zamykają swoich paragrafów przed wewnętrznym życiem człowieka. Czy Kott chce, aby w literaturze na stałe obowiązywał tryb sądu doraźnego?

Nie, felietony Kotta nie byłyby kodeksem dobrym i mądrym. Byłyby kodeksem niesprawiedliwym, okrutnym, fanatycznym. Laicka inkwizycja — oto perspektywa! Niech mi Kott wybaczy, lecz to, co powiem — powiem z pełną odpowiedzialnością i z głębokiego niepokojem o los naszej kultury, los naszego myślenia. Gdyby tę ocenę człowieka, której Kott domaga się od pisarzy, przenieść w najobiektywniejszą dziedzinę ludzkiego wartościowania, jaką jest prawo, w konsekwencji, wśród tych miar osądu, znaleźlibyśmy się rychło w obliczu takich samych koszmarów, gwałtów i hańb, jakich świadkami byli nieszczęśliwi ludzie, deptani w ciągu minionych lat ciemności i krwi.

Kott poświęcił wiele trudu, erudycji i inteligencji, aby demaskować źródła i skutki tzw. katastrofizmów. Ale czy zdaje sobie sprawę w tym samym stopniu, dokąd zmierza jego własna postawa, ku jakim prowadzi zaulkom i mrokom? Kimże my mamy być — pisarze? Zmechanizowanymi kukłami, głuchymi klawiszami okaleczonych instrumentów? Mamy dobrowolnie — i w imię jakiej prawdy? — wyrzec się podziwu dla ludzkich pragnień i pogardy dla nikczemnych rojeń i myśli, albo okasztrować siebie z najgłębiej ludzkiego zamyslenia nad tragicznym rozdźwiękiem pomiędzy wysiłkiem człowieka, a losem jego i bliskich? Mamy zamknąć przed sobą całe życie wewnętrzne człowieka, a notować i osądzać tylko gesty?

Każdy, komu danym zostało przetrwać ostatnie lata, pojmuje, jaką wobec odmetów szaleństw i barbarzyństw doniosłość i wagę posiada czyn ludzkiej godności i jaką nikczemnością okrywał się czyn zbrodniczy. Nie chcę twierdzić, że człowiek walki i drugi o walce rojący wyrównują się wobec oceny etycznej. Ale jako pisarz, który chce mówić prawdę o życiu i o człowieku, a nie zapomina, że artysta, jego sens, jego godność, spoczywają w moralnym świadectwie, w miarach osądu i w hierarchii wartościowania, muszę protestować, gdy pod grozą zarzutu szkodnictwa ma mi być zabronione moje ludzkie prawo patrzenia w sumienie własne i w sumienia innych z taką dobrą wolą miłości, współczucia, pogardy, a nawet nienawiści, na jakie mnie stać. Powtarzam, jest fałszem, gdy się twierdzi, że nie ma poza światopoglądem katolickim możliwości osądzania myśli ludzkiej i rozgraniczania intencji na złe i dobre. Kott z pewnością zgodzi się ze mną w ocenie, iż gdybym zasypiając, życzył mu potknięcia się i złamania nogi, to byłoby to z mojej strony brzydka myśl. Gdybym mu natomiast życzył myślenia humanistycznego — myśl byłaby bardzo ładna, przyjazna, nawet nieco wzniosta i na pewno uspołeczniła. Czy nie tak?

Na razie Kott myśli bardzo antyhumanistycznie. Myśli kategoriami wyobrażeń o życiu, a więc dostępną nam wiedzą o rzeczywistości. Być może myślę się, lecz chwilami wydaje mi się, że Kott, chociaż walczy z idealizmem, sam ulega pewnym pokusom idealistycznym. To np. co pisze o empirycznej poznawalności czynu wkrocza na mój rozsądek w dziedzinę typowej mitologizacji. Kott zakłada istnienie jakiejś idealnej, obiektywnej wiedzy o ludzkich czynach. Tymczasem w rzeczywistości ta obiektywizacja (nie mająca nic wspólnego z obiektywizacją historyczną) nie jest wcale taka jednolita. Sądzę, że dzieła tak na wskroś demokratycznej pisarki, jaką jest Zofia Nałkowska, mogłyby w zakresie poznawczego relatywizmu dużo wyjaśnić Kotto-

wi. Tym niemniej, mimo różnorodnych perspektyw, z jakich każdy czyn ludzki jest oglądany i osądzany, nie nam nie przeszkadza budować naszego stosunku do rzeczywistości na niezachwianym przekonaniu, że życie jest poznawalne, krzywe nogi krzywymi, bocian bocianem, a usta w ciup — ustami w ciup, oczywiście o ile ich układ nie wynika z niedoli fizycznej.

Podobnie również ma się rzecz i z oceną myśli ludzkiej. W drukowanym przed kilku miesiącami szkicu o „Realizmie i fantastyce“ wyraźnie twierdziłem, iż świat wewnętrzny przeżyć człowieka w przeciwieństwie do świata zewnętrznego, realistycznego, jest niepoznawalny w pewnym sensie i autentyczny. Nie miałem jednak wówczas zamiaru powie-

zieć, iż podobne stwierdzenie zrucza i zobowiązuje do odwrócenia się plecami do myśli ludzkiej. Wewnętrznych przeżyć człowieka nie można wiernie odtworzyć. Te próby, to właśnie psychologizm, psychologizowanie, lecz można o myślach opowiadać.

Podobne podejście do „świata intencji“ nie ma nic wspólnego ani z wątkowanym obecnie psychologizmem, ani z niemożnością oceny etycznej, ani z katolicyzmem, choć niewątpliwie ten ostatni nadaje myśli ludzkiej specjalnie przejmującą godność. Jest to po prostu stanowisko humanisty, który mniema, iż nic co ludzkie, nie powinno mu być obojętne, a sądzi również, że nie ma w granicach ludzkiego poznania takich luk, przez które mogłoby przeciec prawo moralnej oceny.

LAUROWO I CIEMNO

Kochankowie duchów

Odbyte niedawno obrady Zjazdu Oświatowego nad formą przyszłej demokratycznej szkoły polskiej nasunęły poważną troskę, jeśli chodzi o program nauki historii i literatury. Można ułożyć najlepszy nawet program, ale jest rzeczą jasną, że tylko wtedy będzie on mógł wejść w życie, jeśli powstaną odpowiednie podręczniki. Kiedy przegląda się dzisiaj — ograniczamy się tu do zagadnień literackich — podręczniki sprzed roku 1939, wstępy do wydawnictw Biblioteki Narodowej i monografie, niezależnie od tego, czy powstały w okresie dwudziestolecia czy wcześniej, uderza jedna wspólna ich cecha: w minimalnym stopniu uwzględnia się w nich przestrzeń społeczną i czas historyczny. Autorów umieszcza się wprawdzie w ramach danego prądu literackiego, lecz prąd ten traktuje się w oderwaniu od historii ruchów społecznych. Zarówno prąd jak autor są w tym ujęciu emanacją nieokreślonej bliżej siły duchowej, która, przepływając przez wieki, wciela się w genialne jednostki, a te znów siłą swego indywidualnego ducha kształtują ze siebie, nie z epoki, świat na podobieństwo Stwórcy. Tak pojęta historia literatury jest pieśnią na cześć demiurgów, których popularnie nazywa się u nas wieszczami.

Całe okresy literatury naszej leżą dotychczas odłogiem. Monografie i — rzecz jasna — podręczniki szkolne przemilczają właściwie epokę działalności politycznej Mickiewicza, natomiast z namaszczeniem streszczają „nauczkę“ Towiańskiego. O mistycznym okresie Stowackiego pisze się tomy. Jest ciekawym zjawiskiem, że od czasów Młodej Polski każdy z omawiających tę epokę Słowackiego uczonych ulega sugestii poety. Lojalność w stosunku do przedmiotu swej monografii czy studium posuwa tak daleko, że staje się wyznawcą mistyki autora „Genezis z ducha“, więcej: zapisuje się niejako do koła towiańczyków i głosi chwałę mistrza Andrzeja. Taką pochwałą mistrza i jego nauki jest np. wydany w okresie dwudziestolecia „Wybór pism i nauk“ Andrzeja Towiańskiego poprzedzony wstępem prof. Pigoń. Wstęp obejmuje 25 stron druku, rozdziałek „to dziejowe“ nie przekracza jednej strony. O metodzie badań nad Towiańskim pisze profesor w następujących słowach:

„Punktem zwrotnym w badaniach nad Towiańskim stanie się rozprawa Zofii Gąsiorowskiej, a to wskutek użycia właściwej, raz narzeszcie, metody. Autorka pierwsza ujęła trafnie typ psychiczny Towiańskiego i wskazała jedynie należną podstawę badania. Podstawą tą jest wysoko w nauce zagranicznej ustalony przez H. Joly'ego, a rozwinięty przez Jamesa i Poulain'a, osobny dział psychologii — psychologia świętych“.

Sam uczony zastosował tę metodę w swojej rozprawie o Towiańskim. „Aż oto — pisze uczony — wśród cichej wsi litewskiej naszła nań chwila przeznaczenia; wola Boża objawiła się Towiańskiemu w bezpośrednim widzeniu. Istnienie tego momentu kwestionowano z różnych stron. A jednak septycyzm tu mało usprawiedliwiony; Towiański mówi o objawieniu wyraźnie, a nie daje poza tym ani jednego powodu, żeby wypowiedzeniem jego nie wierzyć“. Itd.

Po przeczytaniu tego naukowego wstępu, kiedy byłem już skłonny uwierzyć w dowody, przytoczone przez uczonego, przypadkiem natrafiłem na uwagi prof. Pigoń o tekstach i autografach Mickiewicza („Jakiego Mickiewicza znamy?“). W tym fachowym i będącym wynikiem żmudnych i umiejętnych badań szkicu czytamy:

„Budzi pewne wątpliwości sens pierwszych zaraz wierszy krótkiego utworu „Zal rozrzućnika“:

Kochanek duchów, ileż was spotkałem,
Ileż to oczu, jak gwiazd, przeleciało!
Ileż to rączek, tonąc, uściskałem...

Zaglądał w oczy, ścisnął rączki — duchom? — zapytuje profesor Pigoń — Jakżeż to możliwe?“

My, którzyśmy czytali rozprawę profesora Pigoń o Towiańskim, nie mamy takich wątpliwości.

Sprawa jest zbyt poważna, by ją zbyć żartem. O ile winni jesteśmy uczonemu wdzięczność za przywrócenie właściwego tekstu temu utworowi (właściwy tekst: **Kochanek, druchów, ileż was spotkałem**) i innym wierszom Mickiewicza, o tyle trudno się pogodzić z jego koncepcjami, zupełnie dowolnymi na temat „Pana Tadeusza“ w głośnym niegdyś sporze o arcydzieło. Sprawę tę poruszył kiedyś prof. Julian Krzyżanowski w swoim interesującym szkicu pt. „Legenda literacka“, bardzo trzeźwo i rozsądnie oceniając rolę legend i mitów w historii literatury. Poloniści ostatniego pięćdziesięciolecia w większości przesiąknięci są nadmiernym subiektywizmem epoki, w której wyrosli; odbija się to niekorzystnie na trwałości ich dzieła. Położyli wielkie zasługi w dziedzinie badań źródłowych, ustalających teksty klasyków naszej literatury, lecz psychologiczno-idealistyczna metoda ich pracy doprowadziła do oderwania zjawisk literatury od podłoża społecznego i dziejowego.

Dopóki nasi historycy literatury i krytycy utrzymywali się w ramach jakiegoś mniej więcej określonego systemu miar (okresy: romantyczny i pozytywistyczny) — rezultaty były dobre, niekiedy trwałe (Mochnicki, Chmielowski). Okres impresjonizmu stworzył szeroko wrota wszelkiej dowolności. „Literatura Młodej Polski“ Feldmana, „Legenda Młodej Polski“ Brzozowskiego, większość prac Kołaczekowskiego i Ostapa Ortwiną są wymownymi przykładami tej szkoły, która gardzi porządną metodą badawczą, ogranicza się do kapryśnych impresji, opartych na mocno wątpliwym „intuicyjnym poznaniu“, głoszonym przez Bergsona. Są i to oczywiście, wyjątki, prace rzeczowe i w ramach epoki odkrywcy. Ale o tym innym razem. Wracając do spraw podręczników szkolnych, należy stwierdzić zupełną już przestarzałość „Historii literatury polskiej“ Ignacego Chrzczanowskiego. Zalety tego podręcznika są znane: żywość, swada i popularność wykładu. Również znane są jego wady: kaznodziejstwo, zdumiewająca w XX wieku sarmackość w typie Potockiego. Ujęcie dziejów narodu mocno zbliżone do „Wieczorów pod lipą“ lub do „Śpiewów historycznych“ Niemcewicza; nie było by chyba rzeczą właściwą kształcić młodzież demokratycznej Polski na księżce, napisanej przez pana Zagłobę. Raczej Chmielowski mógłby się okazać przydatniejszy po dokonaniu skrótów, zmian i dopełnień. Co robić z literaturą czasów nowszych? „Literatura polska wieku XIX“ Manfreda Kridla zawiera spory materiał rzeczowy, podany inteligentnie (jeśli pominiemy część heurystyczną). Ale i ona podziela zasadniczy pogląd swych poprzedniczek: jednostka twórcza określa tu był społeczny, nie był społeczny jednostkę. Podobnie rzecz się ma z ostatnim przed wojną wydanym podręcznikiem Balickiego, Majkowskiego i Kleina, którego zalety stylistyczne, którego estetyzm, obok walorów wychowawczych, nie zakryją podstawowego braku: jest nim oderwanie literatury i sztuki od przestrzeni społeczno-historycznej.

Pominieliśmy w tych uwagach m. in. literaturę Brücknera, jako zbyt trudną do użytku szkolnego i mimo wielkiej wiedzy znakomitego badacza zbyt kapryśną w ocenach i wnioskach.

Nowe, dobre podręczniki nie powstaną zbyt prędko. Nie mogą powstać. Wpiew muszą nowi dziejopisarze i nowi historycy literatury przeorać ugory, dotknięte zaledwie akademickimi piórami. Nie jest to zadanie łatwe ani proste. Tymczasem będziemy kontentować się jakąś mniej lub więcej udatną kompilacją. W każdym razie nie może to być książka, na której stronicach urządzają sobie schadzki kochankowie duchów.

Mieczysław Jastrun

Wszystkie wydawnictwa nadsyłane do redakcji będą odnotowywane w specjalnej rubryce.

Recenzje zamieszczane będą jedynie z książek nadsyłanych bezpośrednio pod adresem redakcji.

Wydawcy i autorzy proszeni są o przysyłanie nowości w dwóch egzemplarzach.

